

# DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno - literacki

Wydawca:  
Aleksander Zwierzyński

## Górale polscy w roli dyplomatów (W 15-toletnią rocznicę konferencji pokojowej w Paryżu)

### I. SPISZ I ORAWA PRZED R. 1918.

Sporo już czasu upłynęło od objęcia przez władze polskie dwóch skrawków Spisza i Orawy, przyznanych nam w r. 1920 przez Radę Ambasadorów po prawie dwuletnim sporze z Republiką Czechosłowacką.

Początkowo Spisz i Orawa budziły pewne zainteresowanie zarówno Rządu jak i społeczeństwa, później jednak zwykłą u nas rzeczą kolejną zapomniano prawie zupełnie o tych dwóch pięknych, lecz bardzo ubogich ziemiach, których mieszkańcy walczą obecnie z największym trudem o kawałek czarnego chleba.

A przecież był czas, że kwestja Spisza i Orawy entuzjasmowała społeczeństwo polskie, które nie chciało początkowo wierzyć, że po tamtej stronie Karpat, już w dorzeczu Dunaju, żyją Polacy gorąco przywiązani zarówno do religii jak i mowy ojczystej. Można zaś bezsprzecznie stwierdzić, że walka o poczucie narodowe górali Spisza i Orawy, jaką przed wojną światową prowadziło parę odważnych jednostek z nieprzebiegającym w brutalnych metodach rządem węgierskim, jest jednym z najpiękniejszych epizodów tej gigantycznej akcji, jaka toczyła się na ziemiach dawnej Polski o poczucie narodowe ludu polskiego.

Rozbudzone w ostatniej ćwierci XIX wieku wśród społeczeństwa polskiego zainteresowanie ziemiach zachodnimi i połączona z tem działalność oświatowa wśród szerokich mas ludności polskiej, nie dotarła z różnych powodów na Spisz i Orawę. Brak miejscowej inteligencji polskiej uniemożliwiał zapoczątkowanie samodzielnej polityki narodowej polskiej, a społeczeństwo polskie z tamtej strony kordonu nie miało pojęcia, że po drugiej stronie Karpat żyje kilkadziesiąt tysięcy ludzi mówiących po polsku. Przykładem tej ignorancji może być fakt, że nawet w Atlasie Romera, tej prawdziwej chlubie nauki polskiej, Spisz i Orawa figurują jako ziemie słowackie<sup>1)</sup>.

Trudno jest dziś rozstrzygać, co było powodem zaniedbania Spisza i Orawy ze strony społeczeństwa polskiego, można jednak przypuścić, że mając dość kłopotów z trzema, a zwłaszcza z dwoma zaborcami, nie chciano sobie zrażać narodu, z którym przyjaźń była przyszłościową, Węgrzy jednak, zawsze bardzo serdeczni i gościnni na bankietach i przyjęciach, w praktyce nie mniej prześladowali polski ruch narodowy od Moskali czy Prusaków.

Brutalne postępowanie Węgrów w czasie sporu o „Morskie Oko“, ostudziło na pewien czas sympatie filowęgierskie wśród naszego społeczeństwa, które zaczęło się więcej interesować rodakami

ze Spisza i Orawy. Równocześnie prawie paru uważających się za Polaków inteligentów Orawców wszczęło żywą działalność oświat. wśród tamtejszych Polaków. Byli to przede wszystkim księża Ferdynand Machay, Eug. Sikora, Antoni Sikora, Józef Buroń oraz kilku ludzi świeckich, jak aptekarz z Jabłonki Stercula, „notar“ Małonóg i paru innych. Tej garstce ludzi dobrej woli zaczęło pomagać wydatnie w pracy oświatowej kilku ludzi dobrej woli<sup>2)</sup> z poza kordonu.

Ten powolny zresztą proces uświadamienia narodowego Polaków w zaborze węgierskim przerwał wybuch wojny światowej, która rozprószyła najbardziej ochotnych pracowników oświatowych na Spiszu i Orawie.

Rozpadnięcie się w r. 1918 monarchji Austro-Węgierskiej nie zastało jednak Polaków węgierskich nieprzygotowanymi; zwłaszcza na Orawie dzięki lepszym warunkom już 4 listopada rozbrojono posterunki żandarmerji węgierskiej i przepędzono „notarów“ o wiele wcześniej niż na sąsiedniej Słowacji, gdzie węgierska administracja ustępowała dopiero przed wkraczającymi wojskami czeskiemi.

Samorządnie powstała Rada Narodowa ogłosiła przyłączenie polskich części Spisza i Orawy do Polski, w następstwie czego wojska polskie (bardzo zresztą nieliczne) obsadziły wspomniane terytoria zajmując nawet (14 grudnia) Kežmark i Podoliniec.

Wkraczającym jednak na Spisz wojskom czechosłowackim, świetnie wyekwipowanym i znacznie od naszego licniejszym, nie mogły się nieliczne polskie oddziały na serio przeciwstawić tembardziej, że na jakąkolwiek pomoc nie można było liczyć z powodu groźnej sytuacji pod Lwowem. Rozpoczęto więc ewakuację naprzód Spisza, a następnie (15 stycznia 1919) Orawy, z której wraz z ustępującymi wojskami polskimi uszło kilku najbardziej aktywnych działaczy spisko - orawskich.

### II. AKCJA DYPLMATYCZNA O SPISZ I ORAWĘ I WYSŁANIE DELEGACJI DO WARSZAWY

Rząd polski wycofując wojska ze Spisza i Orawy nie myślał bynajmniej zrezygnować z tych czysto polskich terytoriów. Chodziło narazie tylko o to, by uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi, bo sądzono powszechnie, że mająca się odbyć konferencja pokojowa przyzna te ziemie Polsce. Nastrój wśród ludności

<sup>2)</sup> Kogo więcej interesuje sprawa narodowego rozbudzenia Spisza i Orawy, tego odsyłam do przepięknej książki ks. F. Machaya „Moja droga do Polski“ (Kraków 1923).

W książce tej, napisanej z ujmującą szczerością, możemy doskonale śledzić jak autor, początkowo, „zabity Madziar“ staje się narodowo uświadomionym Polakiem a do czego w znacznej mierze przyczynił się krótki zresztą pobyt w Krakowie i przeczytanie „Trylogji“ Sienkiewicza. —

na Spiszu i Orawie był zdecydowanie antyczeski, gdyż Czesi w zajętych terytoriach postępowali brutalnie, urażając zwłaszcza na każdym kroku religijne uczucia szczerze katolickiej ludności, dla której wkrótce przyłączenie Spisza i Orawy do Polski było nie tylko kwestją polityczną, ale także i religijną.

Przyłączeniu jednak Spiszu i Orawy do Polski towarzyszyły ogromne trudności. Przedewszystkiem Czesi byli wówczas pupilkami zwycięskiej koalicji, która zgadzała się na wszystkie żądania, jakie Czesi wysuwali. Polska z powodu specyficznych warunków była w położeniu o wiele gorszym tembardziej, że sprawa spisko-orawska była drobnostką w porównaniu z kwestją Pomorza, Śląska czy Lwowa. Poza tem w tym wypadku mieliśmy na poparcie swych żądań jedynie względy narodowe, gdyż praw historycznych do tych odwiecznie węgierskich ziem nie posiadaliśmy żadnych<sup>3)</sup> a co do Orawy, to przeciwko nam przemawiały jeszcze względy geograficzne, gdyż ta, jak wiadomo, leży już w dorzeczu Dunaju i od Polski oddzielona jest potężnym wałem Beskidów.

Kwestja więc Spisza i Orawy z początkiem roku 1919 nie była bynajmniej przesadzona, a raczej wiele względów przemawiało za tem, że pozyskanie tych ziem dla Polski będzie natrafiało na ogromne trudności.

W tym czasie powstaje wśród działaczy spisko-orawskich, bawiących w Nowym Targu, szczęśliwa myśl, by wysłać do Warszawy delegację ludności, któraby osobiście wyraziła swe życzenia członkom Komisji aljanckiej z ambasadorem Noulensem na czele. Inicjatorem wysłania tej delegacji był bawiały w tym czasie na Podhalu pułkownik angielski Wade.

### III. SKŁAD DELEGACJI SPISKO-ORAWSKIEJ I JEJ WYJAZD DO POZNANIA

Delegacja liczyła sześciu członków, w której skład wchodził: wspomniany już, zasłużony bojownik o polskość Orawy ks. Ferdynand Machay, prof. Dr. Kazimierz Roupperta oraz czterech górali, po dwóch ze Spisza i Orawy. Byli to: Piotr Borowy z Rabczyc, Ignacy Sandrzyk z Jabłonki oraz dwaj Spiszacy: Wojciech Halczyn i Mateusz Koszczak, obaj z Lendaku<sup>4)</sup>. Choć wszyscy

<sup>3)</sup> Wprawdzie posiadaliśmy przez zgorą trzy wieki tytułem zastawu 13 miast spiskich, to jednak terytorjum to posiadała ludność przeważnie niepolską, — natomiast ta część Spisza, która jest zamieszkaną prawie wyłącznie przez Polaków (Zamagórze), nigdy do Polski nie należała, jeżeli pominiemy czasy pierwszych Piastów, gdyż o ówczesnych granicach polsko-węgierskich nie wiecie da się powiedzieć.

<sup>4)</sup> Lendak, wieś leżąca już na połudn. stronie Magóry spiskiej, jest ostatnią miejscowością na południu zamieszkaną jeszcze przez Polaków.

czterej przedstawiali niezwykle dodatkowe typy narodowo uświadomionych górali, to jednak Borowy i Halczyn wyróżniali się od dwóch pozostałych towarzyszy zarówno inteligencją jak i oczytaniem. Obaj przebywali przez dłuższy czas w Ameryce, w której nauczyli się wcale dobrze po angielsku, a Halczyn, jako Spiszak<sup>5)</sup>, umiał nieźle po niemiecku. Nie byli to więc ludzie, którym byle co potrafi zaimponować, znali bowiem dobrze nie tylko Amerykę, ale i szereg większych miast Europy, jak Berlin, Hamburg, Wiedeń, Rzym.

Gdy też później będąc w Paryżu, bawili przyjmowani przez asów konferencji pokojowej, to nie stanowił jedynie miodniczej dekoracji dla ks. Machaya i Prof. Roupperta, ale sami zabierali głos i czasami (jak np. u Wilsona) wyłącznie prawie mówili i przedstawiali te sprawy, dla których do Paryża przyjechali. Zwłaszcza z dyplomatami angielskimi i amerykańskimi, dzięki znajomości języka angielskiego, mieli zadanie ułatwione i zadziwiali ich zarówno inteligentnymi odpowiedziami, udzielanymi w ich języku, jak i pięknym, góralskim strojem.

Delegacja wyjechała do Warszawy 10 marca 1919, a stamtąd udała się do Poznania, gdyż tam właśnie bawiła misja koalicyjna.

W Poznaniu jednak oczywiście sprawy przynależności Spisza i Orawy nie załatwiono, lecz poradzono delegacji, by udała się do Paryża i tam swoje dezyderaty przedstawiła konferencji pokojowej.

### IV. NASI GAZDOWIE W PARYŻU

Do Paryża już jednak pojechało oprócz ks. Machaya i Prof. Roupperta tylko dwóch gazdów, a to Borowy i Halczyn, dwaj inni musieli wracać do domu, oddawszy wprzód swe piękne serdaki i gunie szczęśliwym wybrańcom.

Delegacja udała się do Paryża przez Wiedeń i Szwajcarię, a trzeba dodać, że jechali wszyscy przez cały czas w kurytarzu wagonu, gdyż miejsca siedzące zarezerwowane były na całe tygodnie naprzód.

W Paryżu pierwszą czynnością delegacji było zapoznanie członków Komitetu Narodowego ze sprawą Spisza i Orawy, co nie było rzeczą zbyt łatwą. Sam prezes Komitetu Roman Dmowski był dobrze poinformowany co do obu ziem i zaliczył już przedtem Spisz i Orawę w poczet tych terytoriów, których się miała domagać Delegacja Polska na konferencji pokojowej (Linja Dmowskiego). Pewne natomiast trudności mieli nasi delegaci przy zjedynowaniu sobie innych członków Komitetu, którzy niekiedy wyrażali obawę, że zbyt forsowne wysuwanie Spisza i Orawy może zaszkodzić sprawie Pomorza, Górnego Śląska, Cieszyńskiego, Warm-

<sup>1)</sup> To niedopatrzienie znakomitego uczon. będzie jednym z najsilniejszych argumentów czeskich przeciwko przyłączeniu Spisza i Orawy do Polski.

<sup>5)</sup> Sąsiadujące z Lendakiem Biała Spiska i Słowińska wieś, mają wielki procent Niemców.

ni i tylu innem, które czekały dopiero na rozstrzygnięcie Konferencji pokojowej. Z punktu widzenia ogólnopolskiej polityki państwowej trudno było nawet odmówić racji tego rodzaju stawianiu kwestii. Ks. Machay jednak i jego górale stali na stanowisku, że każdy skrawek ziemi, zamieszkały przez ludność polską, ma pełne prawa domagać się, by jego ziemię przyłączono do Polski bez względu na warunki ekonomiczne czy jakiegokolwiek inne. Ta wytrwałość i energia w domaganiu się swego prawa przełamala wreszcie pewną niechęć nie licznych zresztą jednostek i w krótkim czasie nasi górale stali się popularnymi i lubianymi przez Polonję paryską, ale także wśród szerokich mas Paryżan, których zaciekały przedewszystkiem „egzotyczne“ ubiory naszych gazdów.<sup>6)</sup>

#### V. AUDJENCJA U WILSONA.

Drugim etapem czynności Delegacji spisko — orawskiej było przedstawienie swych postulatów wybitniejszym osobistościom sprzymierzonych mocarstw. Tak więc złożyli wizyty podsekretarzowi stanu w francuskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych P. Laroche<sup>7)</sup>, oraz min. André Tardieu. Francuzi jednak, choć przyjmowali Delegację bardzo uprzejmie, głosili w tej sprawie swoje desinteressement, nie chcąc sobie zrażać zarówno Polaków jak i Czechów i wyrażali życzenie, by spór spisko — orawski został załatwiony polubownie między dwoma państwami. Podobne poglądy wyrażali przedstawiciele Włoch Salvago Raggi i della Toretta. Natomiast wizyty u dyplomatów angielskich i amerykańskich<sup>8)</sup> posiadały znacznie sympatyczniejszy charakter, gdyż panowie ci rozmawiali przeważnie nie z kierownikiem Delegacji ale z samymi gazdami wypytując się ich bardzo szczegółowo o stosunki gospodarcze, polityczne, religijne, komunikacyjne na Spiszu i Orawie, przy czem najwięcej jednak uwagi poświęcali Anglicy i Amerykanie stosunkom ekonomicznym.

Na wszystkie pytania gazdowie dawali jasne i wyczerpujące odpowiedzi i podkreślali, że jedną z głównych przyczyn ich garnięcia się do Polski jest oprócz narodowości wiara katolicka<sup>9)</sup>, którą Czesi teraz poniewierają i lekceważą.<sup>10)</sup> Nie trzeba dodawać, że to pełne taktu i godności zachowanie się prostych górali, ich piękny strój, inteligentne i rzeczowe odpowiedzi wygłaszane po angielsku, — wszystko to musiało zrobić bardzo korzystne wrażenie na dyplomatach anglosaskich i im też głównie mamy do zawdzięczenia, że ogłoszono niebawem plebiscyt na spornych terytoriach Spisza i Orawy.

Punktem kulminacyjnym pobytu delegacji spisko — orawskiej w Paryżu była audjencja u wszechwładnego wówczas prezydenta Wilsona, który posłyszawszy już przedtem o tej oryginalnej delegacji, wyraził życzenie ujżenia ich u siebie (a uzyskanie audjencji u Wilsona było wówczas rzeczą niesłychanie trudną). —

Zdawałoby się, że znalazłszy się oko w oko z tym prawdziwym wówczas dyktatorem Europy — ci prości górale stracą rezon i, jak to się mówi,

<sup>6)</sup> Ks. Machay opowiada wiele zabawnych przygód, jakie spotykały gazdów ze strony Paryżan — a zwłaszcza Paryżanek.

<sup>7)</sup> Obecny ambasador Francji w Warszawie.

<sup>8)</sup> Rozmawiali nasi delegaci kolejno z prof. Lordem, z amerykańskimi sekretarzami stanu Backerem i Bowmanem, amb. Withem, oraz z Anglikami prof. Patonem i pulk. Kischem.

<sup>9)</sup> Ks. Machay „Nasi gazdowie“ str. 19.

<sup>10)</sup> Zwłaszcza oburzali się Anglicy słysząc o strzelaniu do figur Świętych w Jablonce i innych miejscowościach.

zapomną języka w gębie. Tymczasem wręcz przeciwnie! gazdowie spokojnie i rzeczowo wypowiedzieli swoją prośbę, by ziemię, w których żyją, zostały przyłączone do Polski. Na pytania prezydenta odpowiadał Piotr Borowy, który przytem ujął prawą rękę Wilsona i głaszcząc trzymał ją aż do końca audjencji. Prezydent wzruszony obiecał zrobić wszystko to, co będzie od niego zależało a Borowy mu na to z całą pewnością rzekł, że „my dobrze wiemy, że Pan wszystko możesz zrobić, to tylko od Pana zależy!“

Złożywszy krótki memoriał wraz z odpowiedniami mapami pożegnała delegacja prez. Wilsona, który później powiedział swemu sekretarzowi, że jest zachwycony tą delegacją i byłoby mu sto razy milej, gdyby takie delegacje do niego przychodzili, aniżeli różni dyplomaci.

#### VI. POWRÓT DO KRAJU I REZULTAT PODROŻY.

Po audjencji u Wilsona delegaci przyszedli do przekonania, że ich zadanie w Paryżu jest skończone i należy wracać do kraju. Do Polski wrócili przez Niemcy jadąc pociągiem, który wioził do Polski gen. Hallera, przyczem obaj gazdowie musieli się przebrać za Hallerczyków, bo przejeżdżając przez Niemcy byli dozwolony jedynie wojskowym.

W kraju wszyscy delegaci rozwinęli ożywioną działalność propagandową celem zaznajomienia jak najszerszych sfer społeczeństwa polskiego ze sprawą Spisza i Orawy. Zwłaszcza wzbudzały entuzjazm przemówienia Piotra Borowego, który zaciekał słuchaczy licznymi przypowieściami i gadkami, wy-

powiadaniami stylem nie gorszym od Sabałowego.

Ogłoszony przez Radę Dziesięciu plebiscyt nie obejmował wprawdzie wszystkich terytoriów, żądanych przez Polskę<sup>11)</sup>, w każdym bądź razie miał się odbyć na całym Żamagórzcu oraz w powiatach Trzciańskim i Namiestowskim na Orawie. Mimo wszystko jednak wynik plebiscytu zdawał się być przesądzonym na korzyść Polski. To też decyzja Rady Ambasadorów z dnia 28 lipca 1920, przyznająca Polsce jedynie drobne skrawki Spiszu i Orawy, była gorszą od najgorszego wyniku plebiscytu.<sup>12)</sup>

Na Orawie wyszliśmy stosunkowo jeszcze obronną ręką, gdyż oprócz Jabłonki, będącej od dawna centrum ruchu polskiego, otrzymaliśmy następujące wsie: Górną i Dolną Lipnicę, Chyżne, Podwilk, Piekelnik, Podszkle, Orawkę, Bukowinę, Harkabuz, Podśarnie i Górną i Dolną Zubrzyce.

O wiele gorzej obszedł się z nami arbitraż Rady Ambasadorów na Spiszu, przysądżający Czechom stolicę Żamagórzca Starą Wieś, a zwłaszcza tak pożądaną przez Polaków Jaworzynę. Przypadło tu Polsce tylko 12 gmin a to: Nowa Białka, Frydman, Krempach, Trybś, Łapsie Wyżne i Niżne, Łapsianka, Czarna Góra, Rzepiska, Jurgów, Kacwin, Dursztyn, Falsztyn oraz Niedzica wraz z zamkiem niedzickim.

Decyzja choć niesprawiedliwa i wyraźnie nas krzywdząca, przyznała Pol-

<sup>11)</sup> Czadeckie oraz powiaty Keżmarski i Lubawelski na Spiszu przyznano Czechosłowacji bez plebiscytu.

<sup>12)</sup> Według zdania ks. Machaya: „Moja droga“ str. 257.

skie te ziemie, w których uzyskanie Polski nikt bardzo nie wierzył a, już wspominałem, przemawiały przeciwko nam zarówno względy historyczne jak i geograficzne.

Dla naszych delegatów decyzja Rady Ambasadorów wypadła bardzo niepomyślnie, gdyż rodzinna wioska Borowego Rabczyca została przyznana Czechom, — zaś Lendak, skąd pochodził Halczyn, nie był wogóle objęty plebiscytem. Halczyn straciwszy nadzieję powrotu ojczystej wioski na łono Macierzy, wraca tam i pędzi życie nie wolne od szykan i złośliwości czechosłowackich władz politycznych. Zamożniejszy od Wojtka Halczyka Borowy sprzedaje ojcowską chałupę w Rabczyce i kupuje zagrodę w pobliskiej lecz polskiej już Lipnicy Wielkiej i żyje tam jeszcze przez lat dziesięć, — odznaczony przez Rzeczpospolitą orderem „Polski Odrodzonej“ —

Podhale, które do r. 1918 było połączone z resztą Polski nienaturalnie wąskim pasem ziemi, obecnie dzięki przyłączeniu do Polski części Spisza i Orawy, nabrało bardziej naturalniejszych granic a sam „półwysep“ uzyskał znaczenie szersze podstawy.

Wiele zapewne ludzi pracowało nad tem, by Podhale uzyskało nowe i tak bardzo cenne dla nas terytorja, jednak kto wie, czy nie największa zasługa przypada tym dwóm biednym góralom, którzy dzięki swej prawości, przywiązaniu do wiary ojczystej i bezinteresowności sprawili, że obecnie granica Polski obejmuje ziemię leżącą już po tamtej stronie Karpat. —

Zbigniew Ciekliński

## O niedokrwistościach dziecięcych

W wieku dziecięcym zdarzają się anemje wielopostaciowe, zależnie od różnorodnych czynników wywołujących to schorzenie. Ponieważ przyczyny tej choroby są rozmaite, nie zawsze znane, dlatego klasyfikacja anemji na różne grupy była nieścisła i nie zawsze odpowiednio uzasadniona. Podział zarówno anemji na zwykłe i złośliwe — w zależności od stopnia złośliwości przebiegu, jak i podział na pierwotne i wtórne — nie może się utrzymać wobec wyników nowych badań

Badania te wykazują, że anemji pierwotnych niema; — wszystkie anemje są wtórne, wszystkie są wywołane przez pewne czynniki, chociaż nie zawsze znane. Czynniki te mogą być sprawy exogenne — gdy przyczyna wywołująca chorobę jest poza organizmem (wtedy przyczyną do zaburzenia równowagi jaka normalnie utrzymuje się między organizmem z jednej strony a szkodliwymi czynnikami z drugiej), — lub też sprawy endogenne — kiedy przyczyna powodująca chorobę nie przychodzi od zewnątrz, lecz tkwi w samym organizmie.

Omówimy pokrótce poszczególne rodzaje anemji z tych obu grup. Wśród anemji powstałych z przyczyn exogennych można wyróżnić następujące:

**Anemja alimentarna** — dosyć częsta u dzieci — jest wynikiem nieodpowiedniego żywienia, — jak np. sztuczne karmienie wyłącznie mlekiem krowim, a jeszcze gorzej koziem, trwające zbyt długo. Chociaż dziecko przynosi ze sobą na świat pewien zapas żelaza, złożony w wątrobie a pochodzący z organizmu matki, — to jednak wobec niedostatecznej ilości tego ważnego składnika w mleku — zapas ten wyczerpuje się — stąd przyczyni do schorzenia: dziecko wygląda jak nalane, mięśnie wietrzeją, traci apetyt, spada na wadze, kraw wykazuje spadek hemoglobiny do 30 — 20 proc. zawartości ilość ciałek czerwonych spada do 2 milionów, w bardzo ciężkich wypadkach nawet do 1 miliona — może też nastąpić w tych ciężkich wypadkach uszkodzenie ogólnego aparatu krwiotwórczego. Brak słońca, złe mieszkanie i wogóle złe warunki higieniczne jeszcze bardziej pogarszają sprawę. Podawanie jarzyn bogatych w żelazo i jego preparatów leczy tę sprawę.

**Anemja poinfekcyjna** — powstaje

wskutek uszkodzenia ciałek czerwonych przez jady bakteryjne, jak kiła, gruźlica, tyfus brzuszny i inne większe choroby zakaźne.

**Anemja toksyczna** — łączy się z poprzednią, gdyż jady bakteryjne są też toksynami, — ale specjalnie występuje po zatruciu pewnymi środkami leczniczymi np. **salvarsanem** (preparat arsenikowy w leczeniu kiły), **niwanołem** (przy leczeniu płasawicy). Ostatnie badania wykazują, że wskutek zatrucia może nawet przyjść do porażenia szpiku kostnego, — a więc aparat krwiotwórczy.

**An. posthaemoragiczna** — po utracie znacznej ilości krwi wskutek zabiegu np. złe zawiązanie popowiny, nieszczęśliwy zabieg położniczy itp.

**An. vermigenes** (czerwiowa) — mają tu znaczenie przeważnie taslemca, które wysysają krew z naczyń ścian przewodu pokarmowego.

Wśród anemji wywołanych przez czynniki endogenne można wyróżnić dwie grupy: jedną o przyczynach niejasnych, drugą o przyczynach dokładnie poznanych.

#### I. ANEMJE ENDOGENNE O PRZYZYNACH NIEJASNYCH:

**An. wcześniaków ew. bliźniąt** — występuje dopiero po pewnym nie długim wprawdzie czasie — jest u wcześniaków i u bliźniąt bardzo częsta — przyczem postępuje dosyć szybko. Sądzą, że występuje wskutek niedostatecznej ilości żelaza u tych dzieci otrzymanego z organizmu matki, — przekonani są jednak, że podawanie żelaza zawodzi. Anemja ta ustępuje, chociaż bardzo powoli.

**An. aplastyczna**, — b. częsta, — spowodowana jakimś wrodzonym defektem, — prowadzi stale do śmierci, przyczem stwierdza się wielkie zmiany w ciałkach czerwonych i płytkach, ilość ciałek czerwonych i białych zmniejsza się, płytki zanikają, — stąd krwotoki. Stwierdzono, że niektóre choroby prowadzą do takiej anemji np. nowotwory w kościach, a także choroba „marmurowa“ — przy której kości są zgrubiałe i wykazują prawie zupełny brak szpiku kostnego.

**An. hemolityczna** — występuje częściej u dorosłych — stwierdza się mniejszą wartość ciałek czerwonych i organów krwiotwórczych, ciałka czerwone są kul-

ste, budowa ich jest inna, odporność w stosunku do roztworów hipotonicznych znacznie zmniejszona. Jest to objaw pewny, na nim oparta jest próba Wandenbarga. Chorobę tę cechuje żółtaczka koloru szaro-miedzianego — stąd też i inna nazwa tej choroby: — żółtaczka hemolityczna; może ona być wrodzona lub nabyta; objawy chorobowe okresowo nasilają się, napady z wysoką gorączką utrzymują się przez kilka dni. Chorzy ci często mają wieżycowaty kształt czaszki.

#### II. ANEMJA ENDOGENNE O PRZYZYNACH ZNANYCH

**Anemje wskutek zaburzeń w czynności gruczołów o wewnętrznym wydzielaniu**, a więc: przy zaburzeniu słazakowym wskutek niedostatecznej czynności wydzielinowej tarczycy, przy chorobie Addisona, wskutek zaburzeń wydzielniczych nadnerczy przy chorobach przysadki mózgowej.

**Chloranemja**, — błędna wskutek ustania funkcji wewnątrz wydzielniczych jajników.

**An. pernicioza** — niedokrwistość złośliwa — przy jej leczeniu podaje się wątrobę, — gdyż zawiera ona kwasy aminowe powstałe z rozpadu białka. — Z tych kwasów organizm wytwarza pirole potrzebne do budowy barwika krwi. — Wątroba tych kwasów nie wytwarza, tylko magazynuje; mają one powstawać w błonie śluzowej żołądka, gdyż stwierdzono, że błona śluzowa trawiącego żołądka posiada te same właściwości: krwotwórcze co wątroba. Te ciała prawdopodobnie pochodzą z pokarmów i normalnie organizm nie cierpi na brak ich, tylko w tym stanie chorobowym, przy którym organizm nie jest zdolny lub nie może rozczepiać białka wskutek t. zw. bezsoczności żołądka, — polegającej na schorzeniu błony śluzowej żołądka. Wówczas następuje brak tych cząstek kwasów aminowych, potrzebnych do budowy hemoglobiny.

Anemje powodują obniżenie odporności organizmu, wskutek czego może przyjść łatwo do zakażenia. Z drugiej strony przebiecie ciężkich chorób zakaźnych może spowodować w następstwie anemję.

# Z teatrów angielskich

Niepodobna byłoby w Korespondencji o normalnych rozmiarach dać obraz życia teatralnego W. Brytanii, czy choćby tylko samego Londynu, w dobiegającym końcu sezonu. Poprzestanę tedy na kilku zjawiskach, które szczególnie zasługują na uwagę.

## Teatr w Regent's Parku

Lewis Carroll ma stanowczo szczęśliwą rękę. Udało mu się powtórzyć tam tegoroczne powodzenie teatru na wolnym powietrzu. Wspaniała — dla niektórych zanadto wspaniała — pogoda ściga dzień w dzień tłumy do Ogrodu Botanicznego, stanowiącego część Regent's Parku.

Cechą repertuaru jest coraz większe urozmaicenie. Punktem wyjścia teatru w Regent's Parku był Szekspir, którego dwie komedie fantastyczne, młodzieńcza i starcza, „Sen nocy letniej” i „Burza” świetnie nadają się właśnie do wystawienia na tle przez naturę stworzonych dekoracji. Akcja ich odbywa się przecież przeważnie na powietrzu, stąd cudowne opisy, obie też sztuki zawierają obfitość żywiołu fantastycznego. Może widz z czasów Elżbiety wierzył w elfy i w Arjela, może miał swoje wątpliwości. Widz naszych czasów nie wierzy, ale znacznie łatwiej mu pogodzić się z kowencją, jeżeli ujrzy te nadprzyrodzone twory, wychylające się z zarośli i bujające w koronach drzew, niż jeżeli wychodzą z kulis, opuszczają się z góry na niewidocznym sznurze i pochłania je zapadnia.

Wybornie wypadła również „Noc Trzech Króli” szczególnie jej poetyczne ustępy, którym zieleni i kwiecie dało wspaniałą oprawę.

W tym roku Filida Nelson - Terry gra w „Śnie nocy letniej” Oberona, Robert Atkins Spodka itd., wznowiono też „Noc Trzech Króli”, lecz między te przedstawienia wplatają się sztuki współczesne lub w każdym razie poszekspirowskie. Najbliższą premierą będą „Wielkie zaloty” Shaw'a z najślawniejszą artystką angielską, Sybillą Thorndike w głównej roli. Bardzo szczęśliwą innowacją jest również przeniesienie pod gołe niebo baletu. Sidney Carroll wyjeżdża ze swym zespołem na kilkudniowe tury prowincjonalne, wynajmując na ten czas swą „salę” i „scenę” trupie tanecznej Vic - Wells.

Do mniej szczęśliwych pomysłów zaliczyć trzeba wystawienie w Regent's Parku „Ryszarda III.”. Posępny nastrój tej tragedii obłudy, żądzy władzy i mordu niełatwo wydobyć pośród rozkosznej przyrody. Dodajmy dla sprawiedliwości, że odpowiedzialność nie spada na Sidney'a Carrolla, gdyż był to występ gościnny.

## Komus

Na rok bieżący przypada trzechsetlecie „Komusa” Milтона. Jest to tzw. maska tj. widowisko mitologiczne z obfitością efektów wzrokowych i z muzyką. Milton napisał je dla uświetnienia uroczystości, urządzanych przez hr. Bridgewater, gdy ten obejmował namiestnictwo Walji. Podobno wysnuł treść z zablakania się w lesie dzieci hrabiego, ale uiał ją w wiersz, pełen pierwszorzędnych piękności poetyckich i wprawdzie tendencję moralną w swoim parafrańskim duchu. Poeci odrodzenia powtarzali w najrozmaitszym ujęciu antykreontycznie - horacjańskie wezwanie do

używania życia. Milton w „Komusie” jest przedstawicielem „odrodzenia chrześcijańskiego”, potępia żądzę użycia, przeciwstawiając jej ideał czystości i doskonałości.

„Komusa” po raz pierwszy odegrano w roku 1634 w parku (czy sadzie) zamku Ludlow. Był więc pisany z myślą o tle drzew i krzewów. Stąd wybornie wyglądał na scenie Regent's Parku, a jego przepiękne tyrady robiły głębokie wrażenie właśnie na łonie natury. Na pierwszy plan wybił się Leslie French jako Duch Opiekunczy Dziewicy (Lady) granej przez Sybillę Evers.

## Komedja omyłek

Natomiast niezbyt fortunym pomysłem było połączenie „Komusa” z szekspirowską „Komedją omyłek”. Pomijam już odmienność tonu — ostatecznie wrażenie mogłoby polegać na kontraście. Ale można twierdzić, że „Komedja omyłek” wogóle niebardzo nadaje się już dziś do grania. Filologa klasycznego może interesować jako jedyna sztuka Szekspira, oparta wprost na klasycznym oryginale (tj. na „Menechmach” Plauta), znawcę epoki elżbietańskiej pociągnąć mnogością aktualnych w owym czasie, a dziś niezrozumiałych aluzji, badacza życiorysu Szekspira przypuszczalnym żywiołem autobiograficznym (bo przypuszczają że w postaci zazdrosnej a kłótlivej, Adrijany poeta przedstawił własną żonę), ale d'a przeciętnego widza wieku XX. te atrakcje nie istnieją. Farsa wyda mu się nieprawdopodobna, szeregu szczegółów nie zrozumie, a za to wszystko nie znajdzie odszkodowania w czarze poezji, którego tu bardzo mało.

Zupełnie też nieodpowiednie jest tło Regent Parku. Akcja „Komedji omyłek” rozgrywa się przeważnie na placach i ulicach miejskich... Zdaje się, że sztukę wybrano poprostu d'atego, iż jest najkrótszą komedią szekspirowską, więc razem z „Komusem” niebardzo przekroczyła normalny czas trwania przedstawienia. Nie uratowała jej nawet wcale dobra gra Margerethy Scott i innych i wykonawców.

## Eschylos w Bradfield

Zupełnie innego rodzaju, zresztą bardzo oryginalny eksperyment urządził amatorzy płci obojga, rekrutujący się ze sfer uniwersyteckich, w Bradfield w Berkshire. Wystawił Eschylosowego Agamemnona po grecku w kredowej pieczarze. Okazała się ona cudownie akustyczną, a nawet widzowie nie rozu-

miejący języka — bodajże stanowiący większość — upajali się jego melodyjnością, która stanowi kontrast wobec brzydkiej dźwiękowo angielszczyzny. Zresztą mieli i obfitość niezwyklej wrażeń wzrokowych.

Przedstawienie w Bradfield miało charakter kompromisowy. Starano się zachować hieratyczny ton Eschylosa, który chciał tworzyć raczej jakieś nabożeństwo, niż tragedię. Umieszczono chór na przodzie sceny. Ale nie posunięto pietyzmu do ostateczności, która mogłaby wyjść na szkodę przedstawienia.

Postacie dramatu greckiego były w oryginalnej inscenizacji ateńskiej czemś nadnaturalnym. Na twarzach miały maski, na nogach koturny, które znacznie wzrosły powiększały. Tego nie naśladowano. Odstąpiono również od wzrokowej monotonii greckiej sceny, która ubierała wszystkich aktorów w białe, powłóczyście szaty, nadając im cechy porażających się posągów. Dano więc głównym osobom chitony i chleny purpurowe ze złotem, a straż przyboczną Agamemnona ubrano w strój czarny z brązowym.

## Dlaczego ludzie chodzą do teatru?

Ankieta na powyższe pytanie urządził znany dramaturg i rzutki reżyser oraz artystyczny kierownik teatru C. B. Cochrane pośród publiczności, uczęszczającej przez kilka dni na sztukę Małgorzaty Kennedy „Nigdy mi nie uciekniesz” (Escape Me Never!). Sztuka ta grana jest od ośmiu miesięcy i stale wypełnia salę. Powodzenie to zawdzięcza po części grze Elżbiety Bergner.

Cochrane zwrócił się do publiczności najuboższej, bo uczęszczającej na galerię. Bilet kosztował tylko 1 i pół szylinga, ale nie tak łatwo go otrzymać, gdyż niema przedsprzedaży, więc trzeba stać w ogonku — nieraz dobrych kilka godzin. Zdaje się, że rozumowanie było słuszne: tacy widzowie chodzą do teatru nie dla mody, nie dla pokazania czy zobaczenia strojów, ale z czystego zamiłowania artystycznego, a ponieważ zapewne niezbyt często mogą sobie pozwolić na jego zaspokojenie, dobrze się namyślają, jaką wybrać sztukę.

Kwestionariusz brzmiał:

Czy pana (panią) skłoniły do zobaczenia Elżbiety Bergner w „Nigdy mi nie uciekniesz?”

- 1) recenzje,
- 2) rada znajomych,
- 3) jej role filmowe,
- 4) afisze

## Kłopoty „mokrych” Stanów Zjedn.

**P**odczas prohibicji większą część sprzedawanego tajnie alkoholu sprowadzano z Kanady i Indji zachodnich. Obecnie wyrabia się go tam na miejscu, nalewa do butelek po napojach, prawnie sprzedanych i zaopatruje w podrobioną precyzyjnie etykiety. Ponieważ bootleggerzy nie płacą podatku, nie płacą za komisję nie wydają, nie na reklamę, ich konkurencja jest wprost zabójcza dla koncesjonowanych handlarzy napojów wysokowych i ci zwrócili się do rządu o szybką pomoc, gdyż każdemu prawie grozi bankructwo.

Rząd Stanów zdaje sobie sprawę z sytuacji, postanowił tedy bezwzględnie wyteplić tajny handel alkoholem. W tym celu prezydent Roosevelt udzielił nadzwyczajnych pełnomocnictw p. Józefowi Choate, który ma stanąć na czele akcji przeciw bootleggerom, działając w ścisłym porozumieniu z władzami skarbowymi i policją.

Jakież będą środki tej walki?

Przedewszystkiem idzie o wyłędzenie

tajnych fabryk i składów. Wzięto się energicznie do rzeczy i w przeciągu tygodnia wykryto 300 destylarni, skonfiskowano zgórą 20 tysięcy gallonów alkoholu i uwięziono zgórą 400 osób.

Równocześnie zapadło postanowienie, że państwo roztoczy ścisłą kontrolę nad wyrobem butelek i ich sprzedażą. Dopuszczalne będą tylko flaszki, zaopatrzone w znak, stwierdzający zapłacenie podatku, zresztą bardzo niskiego. Ponowna sprzedaż butelki ma być surowo zakazana. Po restauracjach i hotelach zbierać się będzie próżne naczynia szklane.

Pozostaje jeszcze sprawa cen. Uczciwi handlarze nie mogą konkurować z bootleggerami, którzy tak świetnie nauczyli się naśladować ich towar co do zewnętrznego wyglądu, że dopiero smakiem i przy pomocy analizy chemicznej można stwierdzić różnicę, a czasem okazuje ją dopiero ból głowy. Prezydent jest uprawniony do zniesienia podatku od alkoholów o 50% i najprawdopodobniej skorzysta z tego prawa.

- 5) przejście koło Teatru i ogłoszeń i fotografii,
- 6) reklama prasowa,
- 7) zwykły przypadek?

Odpowiedzi było około 2 i pół tysiąca, a więc liczba, pozwalająca wysnuć pewne wnioski. Około dwóch tysięcy głosów padło na dwie pierwsze ewentualności (1, 2), przyczem zwyciężyły recenzje, ale tylko w stosunku 9:8. Trzeci punkt (role filmowe) zgromadził niewiele ponad 200 głosów. Jeden z przypisujących swą bytność na sztuce kinowym występom Elżbiety Bergner, napisał „Jej głos, choćby rozbrzmiewający z metalowej tuby, jest dźwiękiem piękny. Szedłem dziś popołudniu piechotą pięć mil (ang.), aby go usłyszeć i będę musiał taksamo wrócić”.

Po setce głosów otrzymały punkty 5 i 6 (ogłoszenia i fotografie na gmachu teatralnym; afisze). Tylko 46 osób przyznało się, że przyszły na przedstawienie przypadkowo.

Najciekawsze były odpowiedzi, wychodzące poza 7 punktów Cochrane — naturalnie bardzo nieliczne. Niektórzy oświadczyli, że ścigało ich nazwisko Małgorzaty Kennedy jako autorki znanej powieści „Wierna nimfa”. Inni mają zaufanie do reżyserii Cochrane. Ktoś napisał: „Sukces to sukces” (a więc dał się skusić długotrwałym powodzeniem sztuki). Byli tacy (bodaj że Żydzi), którzy poszli do teatru przez sympatię do aktorki, wydalonej z Niemiec, Ci po mylili się, bo Elżbieta Bergner pochodzi z Wiednia, chociaż sławę zdobyła głównie w Berlinie, do Anglii zaś przybyła na rok przed przewrotem hitlerowskim. Ktoś napisał, że chciał zobaczyć, o co ludzie robią tyle hałasu.

Na specjalną uwagę zasługują trzy indywidualne odpowiedzi:

Chciałam się raz porządnie wypłakać.

Mecz został odwołany.

Ściągnęła mnie jej naturalność i to, że nie onduluje na stałe włosów.

## Chirurgiczna sztuka

Ogólne zainteresowanie budziła zapowiedziana na 28 czerwca premiera w Lyric Theatre, *Men in White* (Ludzie w białych kitlach) Sidney'a Kingsmilla. Sztuka ma duże powodzenie w Nowym Jorku i grana już była na stałym lądzie Europy.

Rzecz dzieje się w szpitalu, a jedna z odsłon rozgrywa się w sali operacyjnej. Przeciwno zbytniemu realizmowi tych scen wystąpiła cenzura, żądając pewnych opuszczeń.

Treść obraca się około konfliktu między miłością a powołaniem. Mężczyzna pragnie poświęcić się chirurgii, ukochana kobieta sprzeciwia się temu. Ostateczne jej ustępstwo jest problematyczne, mówi bowiem lekarzowi „Pracuj, jak możesz, najciężej” i odłaziła się, nie mówiąc, na jak długo.

Dochód z pierwszego przedstawienia przeznaczono na Szpital św. Jerzego, a ponieważ prezesem Rady Zarządzającej tą instytucją jest książę Walji, zapowiedział on swą bytność na premierze. Będzie również obecny i autor, który po raz pierwszy opuścił Stany Zjednoczone, aby osobiście kierować próbami.

Warto jeszcze zanotować jeden charakterystyczny szczegół: dialogi zawierają dużo amerykańizmów, zwłaszcza amerykańskiej gwary lekarskiej. Wobec tego przeprowadził w nich odpowiednie zmiany językowe Dr. Merton Hodge, w jednej osobie lekarz i dramaturg (jego „Wiatr i deszcz” doczekał się właśnie w St. Martin's Theatre) trzecie przedstawienie).

Tłumaczył W. T.

# Z dziejów zamku w Sanoku

Wielką rolę w dawnych czasach, przy odmiennych niż dziś sposobach wojowania odgrywały warowne zamki, będące bądź rezydencjami wielkopańskimi, bądź siedzibami władz administracyjnych i sądowych. Te ostatnie, wznieszone w stolicach ziem czy województw basztami i murami swymi nie tylko broniły ziem tych przed najazdami wrogów, ale były również gwarancją wykonywania władzy starościńskiej. Mieściły się bowiem w nich urzędy starostów grodowych.

Nie dotrwały warownie te na obszarze Województwa Ruskiego dawnej Rzeczypospolitej do naszych czasów, tak, jak wspólnie zamków prywatnych. Co najwyżej ostały się samotne baszty, części dawnych zabudowań lub tylko resztki murów. Nic dziwnego. Magnaci dbali o swe rezydencje, a twierdze będące własnością Rzeczypospolitej w innych pozostawały warunkach. Różne też przyczyny składały się na to, że dziś tylko ruiny możemy oglądać. Liczne w XVII. wieku wojny i najazdy robiły swoje, a nie było środków na naprawę w okresie upadku gospodarczego kraju i skarbowości państwowej. Czas zaś nie próżnował niszcząc dalej murów. Wreszcie dzieła dokonywał nieraz rząd austriacki, nakazując burzenie niektórych warowni.

W stolicy jednej z ziem Województwa Ruskiego, Sanoku dochował się do naszych czasów zamek, aczkolwiek w postaci małej już przypominającej dawną siedzibę starostwa grodowego. Jest jednym z niewielu zabytków miasta, które niegdyś niepoślednią odgrywało rolę. Nie dotrwała do teraz fara zbudowana za czasów Kazimierza Wielkiego, dwukrotnie w XVIII. wieku spalona. Istnieje jeszcze romański kościół z klasztorem OO. Franciszkanów, cerkiew oraz parę starszych kamienic.

Budowle te jednak nie przedstawiają ani większej wartości architektonicznej, ani też nie dochowały w swych murach prawie niczego (poza staremi dokumentami i książkami), co przedstawiałoby większą wartość zabytkową.

Wiele zawdzięcza Sanok Kazimierzowi Wielkiemu. Król ten nadał miastu prawo magdeburskie w 1366 roku, ale pamiętał też o umocnieniu tu swej władzy królewskiej, odbudowując (według Glogera) w tymże roku zamek. Zamieszkiwali tu podczas pobytów swych w Sanoku królowie polscy. A zajeżdżał tu jeszcze Kazimierz Wielki, wielokrotnie podczas swoich podróży zatrzymywał się tu Władysław Jagiełło, w roku 1417, z okazji ślubu tegoż króla z Elżbietą Granowską w farze sanockiej, gościł zamek w swych murach parę królewską i dygnitarzy, przybyłych tam wówczas. W późniejszych czasach bywał zamek sanocki rezydencją królowych polskich jak np. Zofii, wdowy po Władysławie Jagiellu, Bony, po śmierci Zygmunta I. oraz od roku 1552 Izabelli, siostry Zygmunta Augusta a wdowy po Janie Zapolym, gdy musiała uchodzić z Węgier.

Aż do pierwszego rozbioru wykonywał swój urząd na zamku sanockim starosta tej ziemi. Odbywały się tu sądy i przechowywano aż do roku 1784 akta grodzkie i ziemskie.

Jak przedstawiał się zamek dawniej? Był przedewszystkiem bardzo obronny. Strome stoki góry, San, przepływający wówczas pod samą skałą, jedyny dostęp od strony miasta czyniły go trud-

dostępnym. O stanie jego w różnych czasach przechowały się pewne wiadomości. Tak np. zapiski sądowe z połowy XV. wieku mówią o parkanach, którymi był zamek otoczony.

Lustracja z roku 1665 wspomina że cały zamek był otoczony murem, który ze starości był już nieco zniszczony. Wejścia broniła potężna, murowana brama. Główny budynek zamkowy też był częściowo zniszczony. A „było w nim pokoiów y izdeb wiele”. Naprawiano go wówczas, ale na całkowitą naprawę brakowało funduszy, dochody starostwa były bowiem za szczupłe, jak zaznacza lustracja. Lustracja z r. 1765 w podobny sposób opisuje zamek, wspominając jeszcze o moście na murowanych filarach i o wieży w dziedzińcu, służącej za więzienie. Lustracja ta również wspomina, że ściany groziły ruiną, gdyż były popękane ze starości (obvetustatem). Niebezpiecznym okazał się San, który podmywał skałę. Jak przed stawiał się zamek niedawno jeszcze, bo w roku 1880, może poinformować rysunek w Albumie widoków Napoleona Ordy. Gmach zamkowy był wtedy o wiele obszerniejszy, gdyż posiadał jeszcze boczne skrzydło, dziś już nieistniejące.

Położony w ustronnym zakątku Podkarpacia, rzadko bywał Sanok narażany na oblężenia. Nie omijały go jednak całkiem najazdy wrogów. Tak np. w 1657 roku podczas najazdu Rakoczego

na Polskę, jeden z wodzów jego, Ispan, pokusił się o zdobycie zamku sanockiego, czego jednak nie zdołał dokonać.

Ostatni raz odegrał zamek swą rolę jako warownia podczas wałk o niepodległość Polski w roku 1809. Gdy w roku tym wojska Księstwa Warszawskiego zajmowały Galicję, zaczęto organizować po cyrkulach polskie władze. Wtedy to Ksawery hr. Krasicki z Leska organizator i dowódca jazdy w Sanoku zajął na czele zebranych ochotników zamek sanocki i wprowadził tu polski rząd dla tutejszego cyrkulu. Nie długo jednak rząd ten utrzymał się, bo Austriacy otrzymawszy posiłki, zajęli miasto i przystąpili do zdobywania zamku, do którego po walce cofnęli się Polacy. Przewaga Austriaków była wielka, a fortyfikacje zbyt zniszczone, aby można się było długo bronić. Krasicki poddać się nie chciał, chwila zdobycia zamku nadchodziła, postanowiono więc użyć fortelu, aby przynajmniej ocalić załogę. W pewnej chwili dwaj oficerowie Bukowski i Prek z całym oddziałem zaatakowali w najłabszym miejscu oblegających huzarów i zdołali się przebić. Podczas tego Austriacy w innej stronie ruderzyli na bramę i zajęli ją, gdyż nikt jej nie bronił. Pozostali w zamku sam Krasicki zjechał wówczas konno stromą ścieżką od strony cerkwi, przepłynął wpław wezbrany wówczas San i później połączył się pod Leskiem ze swoim oddziałem. W roku 1909 spo-

łeczeństwo sanockie uczciło pamięć jego wmurowaniem w szkole w pobliżu zamku pamiątkowej tablicy. Mieszczanie sanoccy zaś opowiadają o rycerzu, który konno i w zbroji, spiesząc się z rozkazem skoczył ze stromej skały i zabił się.

Dziś zamek sanocki nie może już imponować potężnymi basztami i murami. Przedstawia się nawet dość skromnie, ale malowniczo. Zbudowany na wysokiej i stromej górze nad Sanem, zamyka piękną panoramę miasta od wschodu. Górę tę oddzielają od miasta głębokie parowy, tak, że w jednym tylko miejscu jest do niej dostęp, tam właśnie, gdzie dawniej była brama i most. Z głównego budynku zachowała się tylko część. Istnieje jeszcze stara a głęboka studnia i resztki murów obronnych.

Podanie miejscowe mówi o korytarzu podziemnym, którym zamek ma być połączony z Białą Górą, położoną po drugiej stronie Sanu o kilkaset metrów od zamku. Podanie również mylne nazywa zamek „zamkiem królowej Bony” przypisując jej założenie go. Królowa ta mieszkała tylko przez pewien czas w Sanoku i wybudowała na Białej Górze Królewską Studnię a praw dopodobnie i zamek myśliwski, z którego teraz słabe tylko ślady istnieją.

Dziś zamek sanocki jest własnością Państwa Polskiego. Mieszczą się w nim niektóre urzędy i mieszkanie starosty sanockiego tak, jak to było przez szereg wieków od czasów Kazimierza Wielkiego. ADAM FASTNACHT

## Jan Franciszek Millet

Mało który malarz cieszy się we Francji od szeregu lat taką popularnością, jak J. F. Millet: reprodukcje jego obrazów, wielo- i jednobarwne znaleźć można w każdym niemal domu czyto zaможniejszego wieśniaka, czy bogatego ziemianina.

Reprodukcje, powtarzamy; — oryginały bowiem zdobią muzea Paryża i Londynu, lub salony Vanderbiltoów i Rockefellerów.

Najbardziej znane są bez wątpienia dwa obrazy Millet'a: „Anioł Pański” (L'Angelus du soir) i „Kobiety zbierające kłosa” (Les Glaneuses). Obrazy, — zdaniem fachowej krytyki, — nie mogące uchodzić za arcydzieła z punktu widzenia samej techniki malarzkiej, a zwłaszcza kolorytu, — ale podbijające czarem prawdziwej poezji i szczerego uczucia.

Tematy zaczerpnięte z codziennego szarego życia, chłopów: Oto na dźwięk dzwonów bijących na „Anioł Pański” przerywają oni swą pracę na roli. Mężczyzna stoi trzymając w ręku kapelusz, pogroźony w cichej, niemej modlitwie.

Kobieta składa nabożnie ręce, szepcąc „Ave Maria”... Opadał taczki z workami, koszyk napelnięny ziemniakami i zatknięte w ziemię widły.

Pracowali uczciwie, w rocie czoła, przez dzień cały, — obecnie nadchodzi chwila skupienia i modlitwy wieczornej przed zasłużonym wypoczynkiem.

Tam znów widzimy wysokie stogi zboża, ładowne wozy, niskie chałupki. A na pierwszym planie trzy stare kobiety chylą się nisko ku ziemi, zbierając skrzętnie resztki żętych kłosów. „Trzy parki nędzy” — jak je nazwał Gautier.

Jakże mało mówi taki suchy opis, jak ubogim i nieskomplikowanym wydać się może sam temat obrazu! To samo dotyczy większości dzieł Millet'a, czy to będzie „Siewca”, czy prządniczka, czy gęsiarka lub owczarek. Zazwyczaj jedna lub dwie tylko postacie, oddające się najbardziej prozaicznemu zajęciu; niema w tych obrazach ani hucznego życia, zabawy, tańca, czy pijatyk,

ani jakichś grup czy tłumów.

Zato jest w każdym z nich szczerze uczucie, jest dusza prawdziwego artysty, jest hołd i apoteoza pracy na roli.

Pochodził Jan Franciszek Millet ze średnio zamożnej chłopskiej rodziny, osiadłej od lat na północno-zachodnim wybrzeżu Normandji.

U młodego chłopaka już wcześniej obudził się talent do rysunków, — toteż już w 18 roku życia wyjeżdża do Cherbourg na studia malarzkie.

Po śmierci ojca w roku 1835 wraca na wieś, by jako najstarszy syn prowadzić dalej gospodarstwo. Wraca do pluga, do stajni i stodoły. Ale nie na długo. Już w następnym roku wyjeżdża znów do Cherbourg'a i wstępuje na naukę do prof. Langlois. Po sześciu miesiącach tej nauki Langlois zwraca się do Rady miejskiej w Cherbourg'u z prośbą o przyznanie Millet'owi zasiłku na podróż i dalsze studia w Paryżu. Szło o niewielką sumę — 600 franków.

Zasiłek ten faktycznie otrzymuje — i to zdecydowało o dalszej karierze Millet'a. Wychowany na wsi, wśród ludu, czuje się dziwnie obco i nieswojo w atmosferze stolicy. Zarabia na skromne utrzymanie... maluje szyldy. Przerzuca się następnie za radą przyjaciół, do malowania modnych wówczas scen frywolnych, amorków, nimf i faunów — i tak, kłepie biedę przez kilka lat, wykończony oderwany od tej czarnej ziemi, którą od dzieciństwa ukochał.

Dopiero rok 1849 przynosi mu decydującą zmianę. Grasowała wówczas w Paryżu cholera. Millet sprzedaje swój pierwszy obraz, wystawiony w „Salonie paryskim”, „Le vanneur”, za ogromną stosunkowo sumę 500 franków i z tym kapitałem wyjeżdża z Paryża do niedalekiej wioski Barbizon. Wrócił tedy na wieś. Kupuje mały domek z kawałkiem pola, urządza sobie gospodarstwo wiejskie i zabiera się sam do pracy.

Jest w swoim żywiole, a czuje się tam tak dobrze, że nie opuszcza Barbizon aż do śmierci.

Tam też — w bezpośrednim zetknię-

ciu się z ludem i pracą na roli — powstaje cały długi szereg jego najlepszych dzieł, — począwszy od „Siewcy” (w roku 1850). Tam również tworzy w roku 1857 dwa swe słynne obrazy, o których wspominaliśmy na wstępie.

Stopniowo sytuacja jego się polepsza: obrazy jego znajdują chętnych nabywców, zwłaszcza w Ameryce.

U szczytu sławy i powodzenia staje Millet w roku 1867, kiedy to na wystawie światowej znajduje się dziewięć jego najlepszych obrazów. Nie dożył co prawda tej chwili, kiedy w roku 1889 jego „Angelus” sprzedany został do Ameryki za 550 tysięcy franków, by następnie wrócić do Francji, gdzie nabywca, Chauchard zapłacił zań 750 tysięcy...

Bądź co bądź jednak mógł już za obrazy swoje — sprzedawane niegdyś po kilkaset franków na opędzenie drobnych codziennych wydatków, — żądać i dostawać po kilkadziesiąt tysięcy.

Ostatni jego obraz „Les Meules”, datuje się z roku 1874. Po dłuższej chorobie, dnia 20 stycznia 1875 zamknął oczy na sen wieczny. Pogrzeb miał skromny, — nieliczna tylko garstka przyjaciół i wieśniaków z okolicznych wsi odprowadziła go na miejsce wiecznego spoczynku, na cmentarz w pobliżu starego kościoła w Chailly.

Wiadomość o śmierci artysty odbiła się w Paryżu silnym echem. Krytyka jednogłośnie okrzykiwała go jednym z największych geniuszów malarstwa, zestawiając go w jednym rzędzie z Michałem Aniołem.

Na urządzonej w maju tegoż roku publicznej aukcji uzyskano za spuściznę po zmarłym — obrazy, szkice i rysunki — imponującą sumę 321 tysięcy franków.

A Rada miasta Cherbourg wystawiła mu na rynku pomnik, czcząc w ten sposób wielkiego artystę, któremu ongi udzieliła stypendjum w kwocie sześciu tysięcy franków, otwierając mu temsamem drogę do sławy. (R)

# „Noche Triste”

(W rocznicę „Smutnej Nocy” Hiszpanów w Meksyku)

W triumfalnej epopei odkrywania Nowego Świata i zdobywania dla cywilizacji europejsko-chrześcijańskiej olbrzymich, przewspaniałych i przebogatych terenów dla ekspansji kulturalnej i gospodarczej, politycznej i religijnej — nie brak, obok zdumiewających, wspaniałych momentów chwalebnych — i epizodów smutnych, żałobnych, często tragicznych. Wielu odkrywców i konkwistadorów nie ujrzało już nigdy ojczystych brzegów Kastylji, Estremadury czy Portugalji, opuściwszy je w poszukiwaniu przygód, chwały i złota w nowoodkrytych światach.

Jednych zmiotły choroby podzwrotnikowe („vomito” — groźna febra), wielu zginęło w otchłaniach morskich, wielu z ręki zazdrosnej lub karzącej współbraci, wielu w walce z krajowcami. I między najgłówniejszymi nazwiskami nie brak tragicznych ofiar przeznaczenia: w walkach bratobójczych zginęli Almagro i dwaj Pizarrowie, Vasco Nuñez Balboa, pierwszy Europejczyk, który ujrzał Ocean Spokojny, dał głowę pod miecz z rozkazu zazdrosnego swego teścia, Pedrajasisa, — na dalekich Filipinach od strzały zatrutej krajowca padł Megellan, pierwszy człowiek, który dokonał podróży dookoła globu ziemskiego, — z ran, które od Indian otrzymali, umarli Fernandez de Cordova, jeden z tych, którzy pierwsi ziemi meksykańskiej dosięgli, i Juan Ponce de Leon, odkrywca Florydy.

Lecz najtragiczniejszym, najbardziej krwawym epizodem w dziejach wielkich odkryć i zuchwałych podbojów bezsprzecznie była noc z 1 na 2 lipca 1520 roku, istna hekatomba z krwi europejskiej, chrześcijańskiej, złożona na ołtarzu boga dziejów. Noc ta wywarła wstrząsające, niezapomniane wrażenie na współczesnych i przeszła do historii i legendy pod wiele mówiącą nazwą „Smutnej (albo bolesnej) nocy” (po hiszp. „Noche Triste”, po ang. „The melancholy night”).

W latach 1519—20 zdobywcy hiszpańscy pod wodzą Fernanda Korteza (właściwie Hernán Cortés) dokonali największego, najtrudniejszego i najdonioślejszego wyczynu w dziejach wielkich podbojów w Nowym Świecie.

Mała ich garstka wtargnęła na terytorium potężnego państwa meksykańskiego, stanowiącego nie typ dyktatorskiej monarchii, jak przypuszczano doniedawna, ale federację wojskową szczepów Tlapacan, Tezcuco i Azteków pod przewodnictwem tych ostatnich, jako plemienia najbitniejszego.

Z pomiędzy Azteków też wybierany był naczelny wódz sił zbrojnych federacji i to z jednego rodu, co spowodowało, że aż do końca XIX wieku w Europie wyobrażano sobie, że ci naczelni wodzowie federacji byli dziedzicznymi monarchami (cesarzami) typu teokratycznego — absolutnego.

Również i co do istoty i stopnia rozwoju kultury meksykańskiej panowały doniedawna zupełnie fałszywe przekonania i interpretacje: według najnowszych badań nie była to bynajmniej wysoka oryginalna cywilizacja, ale stan t. zw. „średniego barbarzyństwa” z naleciałościami pewnych cech wyższej cywilizacji, zaszczerpieniami Azteków przez tradycje na długo przed Aztekami wymarłych plemion Mayów. W świetle

nowszych badań nie jest więc podbój Meksyku przez Hiszpanów tak doniosłym czynem: nie jest to triumf cywilizacji europejskiej w walce z drugą, oryginalną, dziwną, ale równie potężną cywilizacją.

Z drugiej jednak strony odpada powód do oburzania się na rzekome barbarzyństwo europejskich zdobywców, do rozpaczania, że w poszukiwaniu złota bezmyślnie zniszczyli „wielką kulturę”. W każdym razie, jeżeli chodzi o barbarzyństwo — to zarówno w sensie kultury materialnej, rozwoju duchowego i intelektualnego, jak i w dziedzinie humanitaryzmu, — hiszpańscy konkwistadorzy o niebo przerastali Azteków i ich pobratymców.

W każdym jednak razie fakt zuchwałego wtargnięcia kilkuset Hiszpanów na terytorium państwa, mogącego wystawić do 100.000 wojowników, jest czymś w dziejach ludzkości niesłychanym i brzmiałem, jak pieśń z fantastyczno-heroicznej epopei. Nie tu miejsce i czas rozwodzić się, w jaki sposób i dlaczego dokonali Hiszpanie podunkowo bez dużego wysiłku tego zdumiewającego wyczynu: w każdym razie w połowie roku 1520 widzimy ich już w murach stolicy państwa — w Meksyku czyli Tenochtitlanie: pałac monarchy Montezumy (właściwie naczelnego wodza Moktezoumy), skarbee i najważniejsze świątynie są w ich ręku, a sam Montezuma znajduje się w ich mocy, niby honorowy gość — w gruncie rzeczy, jako jeńiec, którego nawet na jakiś czas zakuto w kajdany.

W czerwcu naskutek nierozważnego

i okrutnego postępowania jednego z zastępców Korteza, Pedra de Alvarada, wybuchło w stolicy powstanie. Dziesiątki tysięcy Azteków szturmowały świątynię i pałac, zajęte przez Hiszpanów. Położenie Europejczyków stawało się beznadziejne. Dla ratowania sytuacji uciekł się Korteza do interwencji Montezumy, przypuszczając, że więziony wódz swym autorytetem usmierzy rozpętanie namiętności.

Ale było już za późno: rozwścieczeni Aztekowie odpowiedzieli na interwencję Montezumy urąganiem, a nawet obsypali go gradem pocisków, z których jeden ciężko zranił wodza. W kilka dni później, targany wstydem i rozpaczą, że lud własny nie tylko wyzybił się posłuchu dlań, ale się wyrzekł go i nawet mu uragał — Montezuma zmarł, co było dla Hiszpanów niewątpliwym znakiem, że nie już nie powstrzyma gniewu i zemsty rozwścieczonych tłumów.

W obliczu grożącej zagłady Korteza zwołał radę wojenną i zdecydował wyjście z miasta.

W nocy z 1 na 2 lipca wojsko hiszpańskie i oddziały sprzymierzonych z Hiszpanami krajowców z plemienia Tlaskalanów poczęły opuszczać Tenochtitlan. Wyruszano w jak największej ciszy, by oszukać czujność oblegających Azteków lub przynajmniej opóźnić ich alarm. Żeby wyjść z miasta, położonego na wyspie na środku jeziora Tezcuco, trzeba było przejść przez trzy kanały. W tym celu Hiszpanie przygotowali przenośny most i rozpoczęli odwrót grupami.

## Fotografia żywej komórki

Przed paru dniami rosyjski uczony prof. Jaworski w Akademii nauk w Leningradzie miał wysoce interesujący wykład poświęcony dzieleniu się komórki w żywym organizmie. Zagadnienie dzielenia komórki jest jednym z najważniejszych zagadnień biologii.

Na poznaniu jąder komórki, jej organów t. z. chromosomów i procesu jej dzielenia oparta jest teoria dziedziczności i jej praktyczne zastosowanie w procesie selekcji.

Tymczasem mechaniczna strona dzielenia dotychczas jest nie znana.

W żywej komórce pod mikroskopem wszystko jest przezroczyste i bezbarwne. Jeszcze nie tak dawno uważano komórkę za bryłkę napół płynnej materii protoplazmy. Określano ją, jako żywe białko.

Dopiero nowa metoda „ustalania” i barwienia stworzyła w nauce o komórce nową obszerną dziedzinę nauki t. z. cytologię, która nabrała ogromnego znaczenia w genetyce i selekcji.

Na barwionych preparatach wyraźnie są widoczne te szczegóły budowy komórek i jej organów, które niedostrzegalne są w jej żywym stanie, gdy jest bezbarwna i przezroczysta.

Jednak aby „zabarwić” komórkę, trzeba ją „ustalić”.

Cytologowie czynili usilne starania celem wynalezienia takiego sposobu ustalania, przy którym ustrój najmniej zmieniałby się. Starano się tak zabijać, by wszystko w niej pozostało niezmiennione. Osiągnięcie tego okazało się jednak niemożliwe.

Zmiany aczkolwiek nieznaczne były jednak istotne.

Prof. J. uciekł się do innego sposobu. Wiadomo, że przy pomocy fotografii lic sądowych w śledztwach, udawało się w całej pełni odnowić wywabiony na dokumencie tekst.

Takimi też fotograficznymi metodami posługuje się archeologia. Prof. Jaworski opracował szereg metod takiej badawczej fotografii. Sfotografował komórkę w czasie dzielenia się.

Takie zdjęcia mikrofotograficzne pod dają działaniu specjalnie przez siebie wynalezionych metod, wzmacniając na zewnętrznych krańcach kontrasty i różnice barwne. Tą drogą otrzymuje się jasny i wyraźny obraz wszystkich organów żywej komórki.

Kinematografia dała Jaworskiemu nowe jeszcze możliwości postępowania. Jednak proces dzielenia się komórki odbywa się, z wyjątkiem niektórych jego momentów, bardzo wolno, — trwa godzinami.

Zbadać jego dynamikę również trudno, tak jakbyśmy chcieli śledzić oczyma ruchy wskazówek zegara. Jednakże ruchy sekundowych wskazówek są dobrze widoczne. Dlatego Jaworski zastosował w swych pracach sposób powolnych, przewlekłych zdjęć. Pozwalają one doskonale dostrzegać takie ruchy, które w innych warunkach, wskutek swej powolności, byłyby nieuchwytnie.

Oczywista, odkrycie prof. Jaworskiego wywołało w świecie naukowym ogromne zainteresowanie. (k.)

Awangarda, złożona z 200 żołnierzy hiszpańskich i 20 konnych rycerzy (caballeros), wyruszyła pod wodzą jednego z najbliższych współpracowników Korteza, Gonsalvo de Sandovala, — arje-gardę z 250 żołnierzy i zaopatrzoną w największą część artylerii prowadził wspomniany już Alvarado (zwany przez Indian „Synem Słońca” — jedyny blondyn z pomiędzy rycerzy hiszpańskich!), mając przy boku gwałtownego Valsqueza de Leon, bliskiego krewnego gubernatora Kuby.

Srodek pochodu, składający się z głównych sił hiszpańskich, kawalerii, taboru i oddziałów tlaskalańskich — wiodł sam Cortez, a przy nim byli Krzysztof d'Olid, ksiądz Bartłomiej d'Olmedo, dona Marina, kochanka Korteza, jeńcy, zakładnicy i niewolnicy (między nimi dzieci Montezumy), ogromne skarby, różne dokumenty — a w samym centrum taboru liczne kobiety, Indianki, między nimi tlaskalańskie żony Alvarada i Velazquez de Leona.

Z początku pochód kroczył w ciszy, ale zaledwie oddział Sandovala rozpoczął forsowanie pierwszego kanału, rozległy się złowróżbne dźwięki gongu i bicie w bębny w wielkiej świątyni. I mrowie wojowników meksykańskich opadło garstkę Hiszpanów i ich nielicznych sprzymierzeńców. Rozpoczęła się rozpaczliwa walka, a raczej rzeź. Każdy żołnierz z armii Korteza miał przeciwko sobie 5—10 przeciwników.

Do jęków rannych i konających przyłączył się wnet krzyk rozpaczliwych: przenośny most pod ciężarem ludzkim tak głęboko zarył się w miękkim gruncie, że nie można go było wyciągnąć. Noc to była nie tylko smutna, ale i straszna. Nie było w wojsku Korteza ani jednego z pośród walczących, któryby nie otrzymał rany; w ucieczce porzucone zostały ciężko ładowne wozy, pełne złota i innych skarbów, — stracono też prawie całą artylerię i wszystkich niemal jeńców i zakładników.

Zginęło 450 Hiszpanów i 4000 Tlaskalanów czyli równo trzecia część armii, — zginął Velazquez de Leon i jego żona — Tlaskalanka, na chrzcie nazwana doną Elwirą. Śmierć niechybna groziła i Pedrowi de Alvarado: spieszony (konie pod nim zabito), ranny w głowę, osamotniony (wszystkich go otaczających zabito) — sam pozostał na opuszczonej już przez Hiszpanów stronie kanału, słabo już się broniąc przeciw atakom Azteków. Widząc, że znikąd już nie przyjdzie ratunek, zdobył się na rozpaczliwy krok: długą swą lancę wparł między trupy, zalegające kanał i zrobił olbrzymi, wspaniały skok — fenomenalny „skok o tycze” wdał. Okrzyki entuzjazmu zarówno ze strony Hiszpanów i Tlaskalanów, jak i osłupiałych z podziwu Azteków — powitały ten wyczyn „Syna Słońca”. Po dziś dzień miejsce to, z reguły zawsze pokazywane turystom, nosi nazwę „Skoku Alvarada”.

Przez 7 dni, upadając z ran i znużenia, opędzali się Hiszpanie i Tlaskalanie atakom Azteków, aż przywieźdzeni do rozpaczliwej decyzji zdecydowali się na walną bitwę, którą stoczyli pod miastem Otumba. Bitwę tę wygrali i od tej chwili zaczyna się nowy okres w dziejach podboju, który skończył się w sierpniu 1521 zdobyciem stolicy przez Corteza i jego sprzymierzeńców i zburzeniem państwa Azteków, pomimo rozpaczliwej obrony pod wodzą bohaterskiego Guatemozina, meksykańskiego Hektora.

Teodor Parnicki

# „Różaniec Wspomnień”

„Wszystkich obwieję nieba polskiego  
błękitem.  
Wszystkich oświecę duszy promie-  
niem i światem”...  
(Słowacki — „Kordjan”)

**D**zieła Dr. prof. Jana Zubrzyckiego jak: „Mistrz Twardowski”, „Sklepienia polskie”, „Arcydzieła Wita Stwosza”, „Sława”, „Serce” i inne — przeświecone są najwznioślejszym polskim idealizmem, ale „Różaniec Wspomnień” jest poprostu hymnem strzelistym, wielbiącym tradycję rodową i narodową, jest wyznaniem wiary w szczytną misję posłanniczą Polski w realizacji Królestwa Bożego na ziemi.

Autor „Różańca” jest przekonany, że ta idea posłannicza była zawsze przewodnikiem narodu polskiego, natchnieniem w tworzeniu cywilizacji i kultury rodzimej, pobudką do wlotów orlich i czynów wielkich; ona uczyniła Polskę przedmurzem Chrześcijaństwa, a w czasach klęsk i niewoli nie pozwoliła zamrzeć żywotnym siłom narodu; ona jest istotną treścią życia Polski, podstawą jej przyszłości.

Ten idealistyczny pogląd autora, wiara w decydujący wpływ czynników duchowych na rozwój narodu, nie jest tylko poetyckim, romantycznym ujmowaniem życia, ale wpływa z naukowego pogłębienia psychologii dziejów, z głębokiej znajomości natury i historii narodu polskiego. Nietylko dobra materialne, samodzielność państwowa i gospodarcza, dobra forma rządu, — stanowią istotną potęgę narodu, ale moc ducha i siła jej natężenia i promieniowania, wierność tradycji rodzimej, ten nieomylny, święty pierwiastek twórczy — idealizm narodowy.

Tradycję rozważa autor jako historycznie i psychologicznie uzasadnione podstawy życia społecznego. Tradycja, w której gromadzi się doświadczenie wieków, mądrość pokoleń, ich dorobek umysłowy i duchowy, — wskazuje Polsce cele, określa obowiązki, pobudza do pracy we wszystkich dziedzinach życia i buduje przyszłość. Za najtroskliwszych piastunów tradycji uważa ród szlachecki i lud.

W „Różańcu Wspomnień” przedstawia autor życie rodu Sas Zubrzyckich, którego gniazdem Hostów w ziemi Stanisławowskiej i Tluste między Zaleszczykami a Czortkowem. Tę, na której rozsnęła perły swego „Różańca” — jest ziemia podolska, odmalowana z ułaskawieniem ogromnym, poezją i plastycznością. Wieś polską, organicznie z przyrody wyrosłą, — uważa za miejsce, w którym najdoskonalej kształtuje się dusza polska; przepiękne są opisy łąk, lasów, uroczysk, dworów, chat i kościołów. „Kościół przedszystkiem” — pisze autor — „na miejscu najpierwszym, kościół wylający, dzwonami i dzwonkami, kościół żarliwie rozmodlony, przepiękny śpiewami w niebo bijącymi, kościół grający organami. Jak długo dźwięczy hymn uroczysty, a prześwieca wielbiący Pana nad Pany, tak długo Polska będzie żywa i nieśmiertelna”. „Dwory szlachty podolskiej, gniazda orłów — bohaterów — zbudowane z drzewa, z dzieciniec kilkumorgowym, ocienionym lipami, lub dębem odwiecznym.

W dziedzinie zaprasza brama wjazdowa, przeważnie okazała. Ozdobą jej filary murywane, zwieńczone u góry kulami albo wazonami, z których wystrzelał płomień lub kwiat, w kamieniu misternie wykonane; jeżeli to była brama drewniana, staropolska, wówczas kule i wazy były drewniane z ogniem, lub kwieciami z drzewa wyrzeźbionym. Na bramach kościelnych i na ołtarzach widać także kule płomienne, jako symbol święty. Snać jedno pragnienie głębokie przenikało naszych przodków, aby życie całe podobne było do naczynia wybranego, z kwiatami, z ogniem świętym sięjącym promienie miłości i ofiary.”

„Różaniec wspomnień” obejmuje okres od powstania listopadowego do roku 1916,

w którym umiera siostra autora, Jadwiga z Łobzowa, (z Zubrzyckich Strokowa) znana działaczka społeczna, autorka wielu poezji i powieści, przeważnie historycznych. W powstaniu listopadowym przepadł bez wieści pradziad autora, po którym został „cichy płacz niewieści” i wzór dla młodego pokolenia; w powstaniu tem walczył dziad autora Karol, który majątek cały złożył na ołtarzu spraw świętej. „Po upadku powstania listopadowego wielu rozbitków przedostawało się z za kordonu prze Zbrucz i w domu Zubrzyckich znajdowało schron i opiekę.”

Z głębokim wzruszeniem patriotycznym opisuje autor marzenia wolnościowe i prace przygotowawcze do powstania r. 1846; z bólem wielkim pisze o tym roku nieszczęsnym, o straceniu bohaterów — Teofila Wiśniowskiego z Jazłowa i Józefa Kapuścińskiego, których przed śmiercią spowiadał stryj autora, ksiądz Roman Zubrzycki, kanonik i dziekan świątynski, — o uwięzieniu ojca swego Marceliego i stryja Justyna w Kufsteinie.

Tchnieniem ożywczym powieje na Czytelnika wspomnienie o wiośnie ludów, uwolnieniu więźniów Kufsteinu, utworzeniu Gwardji Narodowej, działalności ojca Marceliego Zubrzyckiego jako ulana Gwardji, o entuzjastycznym powitaniu generała Dwernickiego we Lwowie, o porywach i uniesieniach serc polskich od marca do listopada r. 1848. Te promienne wspomnienia rychło przyćmiewają chmury

grozy i przygnębienia: bombardowanie Lwowa w listopadzie r. 1848, prześladowania, więzienia, „ofiary i męczeństwa łańcuch święty”. — Ale duch Jazłowieckich, Włostowskich, Zubrzyckich, duch Wiśniowskiego i Dwernickiego, unosił się nad Podolem, nie pozwalając zgasnąć Zniczowi świętemu. Dzieła Mickiewicza drukowane w Paryżu i Lipsku przedostawały się na Ziemię podolską, rozmarzały i podniecały do czynu. Ojciec autora Marcele Zubrzycki, mianowany przez Rząd Narodowy z Warszawy — naczelnikiem miasta i powiatu Uścieczko — stanął na czele przygotowań zbrojnych do powstania r. 1863. „Po nocach często powstańcy dobijali się do naszego gniazda rodzinnego w Tlustem, szukali przytułku, zabierali czamary powstańcze i broń; domek nasz stał się ostoją ducha polskiego, a wróg niczego nie odkrył, chociaż przeprowadzał śledztwa, wyracając w domu wszystko; nawet obrazy z za szkieł wyjmowano i badano pod światło. Mianowanie z Rządu Narodowego zaszyte było w sukni matki. Na życie całe wryły się w serca nasze postacie powstańców, w żupanikach siwych, w butach faldowanych i rogatywe”. (str. 148)

Po opisach pełnych bólu, jakby dla złagodzenia smutku, wprowadza nas autor w zacisze dworów, pokazując życie rodzinne i towarzyskie, opromienione światłem cnót staropolskich, nierzadko bohaterstwem cichym, wielkością i wzniosłością w szacie najszlachetniejszej prostoty.

Jak perły różańca rozciągają się obrazy czarujące wdziękiem „sielskim — anielskim”:

Oto w złocie letniego południa nie dzielnego, w zapachu lip i kadzidel idzie procesja uroczysta, oto na rynku miasteczka wra bójne życie Świętojańskich Jarmarków. — przez szereg komnat doweru sunie barwny wąż „polskiego”, z zamieci śnieżnej, w rubinowej poświacie pochodni wynurza się kulig storopolski, po wysrebrzonej mrozie i księżycem drodze idą kolednicy z tóroniem\*) i ukochanym własnem polskim; po stepie bezkresnym błędzą podróżni, a w izbie zacisznej, na przypięku przytulnym, przy wtórza świerszczów, płastunka stara przedzie przedzie lnianą i baśniową, śpiewając tęskne dumy podolskie; na pagórku pod krzyżem siedzi matka autora z gromadką dzieci i z pamięci swojej wysnuwa opowieści o dziejach ojczystych, a dziatwa zasluchana patrzy w dal.

O tych chwilach pisze autor: „Kto nie zna Podola, ten nie odgadnie, ile to siły tkwi w owym patrzeniu w dal niezmierzoną; jakieś światy czarowne zjawiały się w tej dali, budząc w sercach naszych tęsknotę żywiołową”. — Przy czytaniu „Różańca Wspomnień” — oplatają duszę słowa poety: „Gdyb orłem być, Lot sokoli mieć, Skrzydłem orłem lub sokolem, Unosić się nad Podolem, Tamtem życiem żyć!” — Piękna książka! Czytajcie ją wszyscy: starsi, aby orzeźwić się w zdroju polskości, młodzi, aby rozbudzić pierwiastek idealizmu, tkwiący w każdej duszy polskiej.

H. Gr.

\*) pisownia autora.

## Czy stacje nadawcze męczą się

**L**udzie męczą się, zwierzęta męczą się, a nawet metale odczuwają zmęczenie. Pióra ptaków po pewnym czasie tracą swą prężność. Wszystko cokolwiek żyje, cokolwiek pracuje — zużywa się i starzeje. Można zadać sobie pytanie czy również stacje radiowe, które pracują po 12, a nawet więcej godzin na dobę męczą się i zużywają?

Słuchacze często spostrzegają, że siła odbioru radiostacji słabnie. Po kilku tygodniach, miesiącach, a często i po kilku latach głos stacji radiowej w eterze, początkowo donośny i silny, cichnie. Odbierać ją można przy pomocy odbiornika tylko z pewną trudnością. Mniema się na tej podstawie, że zjawisko to jest spowodowane stopniowym zużywaniem się — można nawet powiedzieć — starzeniem się stacji nadawczej.

Każde zjawisko wymaga wyjaśnienia. I w tym wypadku wyjaśnienie można znaleźć co jest tembardziej potrzebne, że zjawisko rzekomego starzenia się stacji nadawczych mogłoby utwierdzić słuchaczy w błędnym mniemaniu. Każda stacja nadawcza ma dwie słabe strony: antenę i uziemienie. Obrazowo możnaby powiedzieć, że ziemia nie lubi gdy ją zbyt często ładowano silnymi prądami elektrycznymi. Mówi się, że wówczas w ziemi prąd elektryczny wwołuje pewne zmiany, które powodują zmniejszenie zdolności przewodzenia prądu. Jako potwierdzenie tej teorii wymienia się fakt, że stacje nadawcze na okrętach „nie męczą się”, czyli poprawniej mówiąc nie podlegają osłabieniom siły odbioru. Rzekomo bowiem „ziemia” stacji okrętowych, czyli woda, po której płyną, jest ciągle inna.

Jednak dyrektor techniczny wytwórni radiowych stacji nadawczych zapytany o wyjaśnienie zjawiska męczenia się stacji nadawczych oświadczył, że w

czasie 30-letniej praktyki nie spotkał się ani razu z tego rodzaju fenomenem.

Widocznie powód słabszego odbioru pewnych stacji leży gdzieś indziej, gdyż nawet zużywanie się zdolności promieniowania anteny tego nie potwierdza. Oczywiście teoretycznie można wyliczyć, że siła nadawcza stacji, promieniowana przez antenę, będzie z czasem słabsza, gdy antena pokryje się śnieżką względnie zoksyduje się.

Wyliczenie to nie będzie miało jednak praktycznego znaczenia, gdyż stan anteny jest codziennie przy pomocy czułych instrumentów mierzony, co pozwala na utrzymanie stałej siły promieniowania.

Uziemienie anteny stacji nadawczej jest podobne do idealnego uziemienia zwyczajnego odbiornika. Oczywiście druty łączące antenę z ziemią po pewnym czasie tracą z pewnością swe umiemiające zdolności i pewnego dnia staną się bezużyteczne. Ale w praktyce i ten powód musi odpaść, gdyż stacja nadawcza zawsze żyje krócej niż owe druty. Po kilku latach modernizuje się aparaturę nadawczą i zmienia się uziemienie.

Jak widzimy z tego stacje nie męczą się. Faktem jest jednak, że męczą się lampy stacji nadawczej do tego stopnia, że po pewnym czasie są już zupełnie nie do użytku. Jak wszystko na świecie i lampy radiowe nie są wieczne. I one muszą być po pewnym czasie zastąpione młodsze i silniejszymi. Dlatego na stacjach nadawczych uważa się bardzo na stan lamp, aby móc je w odpowiednim czasie wymienić.

Powód mniemania o rzekomem starzeniu się stacji nadawczych leży również gdzieś indziej. Coraz nowe i coraz silniejsze stacje powstają na świecie, usuwając w cień dawne olbrzymy. Dziesięć kilowatowa stacja nadawcza była przed kilku laty olbrzymem, który

budził podziw ze względu na siłę energii nadawczej. Dziś wobec licznych stacji kilowatowych stacyj nadawczych jest ona karzełkiem, ledwo słyszalnym w eterze. Radiosłuchacze, którzy przyzwyczaili się dobrze i silnie odbierać przed kilku laty dziesięć kilowatową stację — dziś odbierają ją z wielką trudnością. Jest cichsza i mniej uchwytna. Z tego powodu mniema się, że stacja w ciągu tych kilku lat postarzała się i nie ma już tej silnej młodzieńczej energii, która dawniej z taką siłą przemawiała z głośnika. Oczywiście stacja nie zestarzała się. Przygłuszyły ją tylko w eterze nowe olbrzymy.

Stacje nie męczą się. Męczą się tylko lampy. A gdy zmęczą się, jest na to jedna rada: kupić nowe.

(K)

### Stale audycje radiowe

Program radiowy jest w ten sposób ułożony, że w pewne dni tygodnia, o pewnych stałych godzinach, nadawane są audycje tego samego typu. Oczywiście możliwe są w tym schemacie pewne przesunięcia spowodowane koniecznością uwzględnienia jakiejś ważnej aktualności, którą przynosi chwila bieżąca, ale naogół wypadki te są rzadkie. Można z całą pewnością powiedzieć, że pani domu, gdy zapamięta sobie, iż we wtorek i w czwartki kilka minut po 1-szej w południe nadaje się przez radio audycję dla dzieci najmłodszych, a w poniedziałki, środy i soboty o godz. 5-tej popołudniu dla dzieci nieco starszych — znajdzie czas, aby w tych godzinach zachęcić dzieci do słuchania radia i wspólnie z nimi przepędzić kilka chwil przy odbiorniku.

W poniedziałki i piątki radio nadaje stale o godz. 6-tej po południu pogadanki na tematy interesujące kobiety. W pogadankach tych uwzględnia się całą skalę zainteresowań współczesnej pani domu, dając jej nie tylko praktyczne wskazówki i rady, ale również omawiając z nią wspólnie wszystkie sprawy, w których decydującą rolę odgrywa współczesna kobieta.